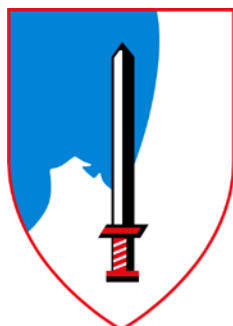


ROZMOWA Z IZRAELSKIM
MAJOREM REZERWY
– SZAJEM KANTOREM,
UCZESTNIKIEM BITWY
PANCERNEJ
NA WZGÓRZACH GOLAN
PODCZAS WOJNY
JOM KIPUR (1973)

ZESPÓŁ BADAWCZY W SKŁADZIE:
PROF. KRZYSZTOF KUBIAK
PEŁK DR HAB. JULIUSZ S. TYM
DR HAB. JAROSŁAW CENTEK
DR HAB. ŁUKASZ M. NADOLSKI
RED. TADEUSZ ZAWADZKI
MGR MICHAŁ PRZYBYŁAK



Nasz rozmówca – Szaj Kantor, jedyny ocalały członek załogi izraelskiego czołgu zniszczonego przez Syryjczyków pociskiem z rpg-7 podczas nocnej bitwy na Wzgórzach Golan



Odnaka 188. BPanc



Oznaka współczesnego
71. batalionu pancernego

Sytuacja na Wzgórzach Golan tuż
przed wybuchem wojny Jom Kipur,
początek października 1973
Rys. Jarosław Centek

Szło na nas pancerne tsunami...

Latem 2019, w ramach prac zespołu badawczego, zajmującego się wojną Jom Kipur, Jarosław Centek przeprowadził cykl wywiadów z majorem rezerwy Szajem Kantorem, który walczył na Wzgórzach Golan, w ramach doraźnie sformowanego 71. baonu pancernego, dowodzonego przez ppłk. Meszulama Ratesa.

Jak to się stało, że zostałeś czołgistą?

Przede wszystkim izraelski korpus wojsk pancernych nie musiał się starać o ochotników. Pamiętam, że mówimy o roku 1972. Ze względu na chwałę, jaką mu przyniosła Wojna 6-dniowa (1967) z jej wielkimi bitwami pancernymi, był bardzo pożądaną formacją preferowaną w wyborze przez rekrutów. Służyć w wojskach pancernych – to był wielki zaszczyt. Drugim powodem było to, że miałem tam kuzyna w stopniu pułkownika (aluf miszne). Ponieważ był z mojej rodziny, łatwo było mi się z nim spotkać i zadać mu kilka pytań. Powiedział mi: – Szaj, jeżeli chcesz odbyć interesującą służbę, idź do wojsk pancernych. Trzecim zaś powodem było to, że... nie lubię biegać. Na przykład służąc w jednostce spadochroniarzy musisz biegać wiele kilometrów. W wojskach pancernych tylko trochę, a ja nigdy nie robiłem tego ponad niezbędne minimum. To była

dobra decyzja; lubiłem swoją służbę i jak wiesz, zostałem oficerem.

Jakiego stopnia się dosłużyłeś?

Mój stopień to major (raw seren). Z wojska odszedłem w stopniu porucznika (segen). Po ukończeniu 3-letniej obowiązkowej służby wojskowej trafiłem – jak wszyscy – do rezerwy. Będąc już w rezerwie prowadziliśmy regularne ćwiczenia, oficerowie oczywiście ćwiczyli więcej. W tym czasie dostałem dwa kolejne awanse.

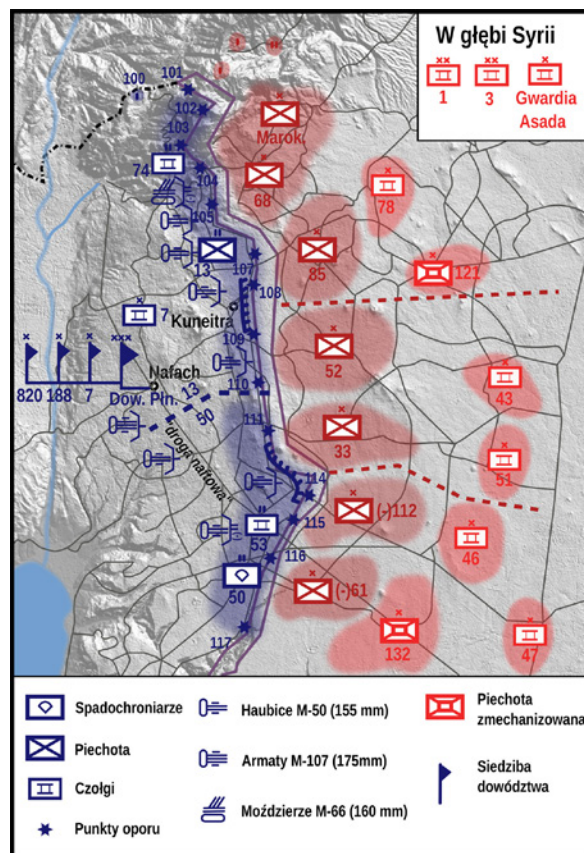
Jak przebiegało szkolenie czołgistów w owym czasie?

Gdy trafiłem do wojsk pancernych na początku uczyłem się wszystkiego o czołgach – jak nimi jeździć, jak nimi walczyć, a także jak o nie dbać. Odbyłem wiele kursów. Każdy z nich miał oczywiście zarówno część teoretyczną, jak też praktyczną, odbywającą się w takim terenie, w jakim miały działać wozy bojowe w razie wojny.

Potem trafiłem na kurs dla dowódców czołgów, który trwał 4 – 5 miesięcy. Był bardzo długi i ciężki. Uczysz się na nim wszystkiego, co jest związane z czołgiem. Dowiadujesz się nie tylko jak być dowódcą czołgu, ale także wszystkiego, co powinien wiedzieć każdy członek załogi. Kierowca przykładowo jest odpowiedzialny za silnik. Musi dbać o to czy jest wystarczający poziom oleju zarówno w samym silniku, jak i w przekładniach, musi sprawdzać, czy nie ma żadnych uszkodzeń mechanicznych. A dowódca czołgu musi być w stanie zająć i obsłużyć każde stanowisko znajdujące się w pojeździe.

Gdzie służyłeś przed wojną?

W bazie szkoleniowej Ceilim, w dziale broni pancernych, ale były tam też oddziały reprezentujące wszystkie bronie, była nawet możliwość ćwiczenia współpracy w terenie z lotnictwem. W Ceilim przygotowywano specjalnie czołgi, w których było zamontowane dodatkowe krzesło. Zajmował je ganan, czyli wychowawca – jak w przedszkolu. Siedział obok dowódcy, miał swój własny hełm i nadzorował jego działania. W razie błędu przerywał ćwiczenie i tłumaczył dlaczego dana decyzja





*Szaj Kantor przy zdobytym
dziale samobieżnym Su-100.
Zdjęcie wykonano przed wojną
Jom Kipur.
Archiwum Autora*

była niewłaściwa. Opiekun interweniował również w sytuacji, gdy któryś z członków załogi postępował niewłaściwie, a dowódca tego nie skorygował. Szkolenie w tym trybie trwało 2 tygodnie. Każdy opiekun był przydzielony na ten czas tylko do jednej załogi. W ten sposób postępowano także z dowódcami plutonów, kompanii, a nawet batalionów.

Trafieś do 71. batalionu pancernego – jednostki improwizowanej. Na czym to polegało?

To była sytuacja nadzwyczajna. Były czołgi, ale nie było ludzi aby je obsadzić załogami, ponieważ nie przeprowadzono jeszcze mobilizacji. Trzeba było szybko te załogi znaleźć, żeby można było te maszyny użyć. Zebrano więc instruktorów ze Szkoły Wojsk Pancernych, kadetów kursów oficerskich i instruktorów z 500. Brygady i z nich utworzono nasz batalion. W efekcie załogi obsługujące konkretne pojazdy zupełnie się nie znały, a co za tym idzie nie były w żaden sposób ze sobą zgrane. Podobnie zresztą wyglądała sytuacja na poziomie plutonu i kompanii. Zdawano

sobie sprawę, że nie jest to optymalne rozwiązanie, ale nie było innej opcji.

Trafiełem do załogi zastępcy dowódcy 71. Bpanc – majora Gideona Weilera, który wcześniej służył jako dowódca kompanii pancerniej na Synaju. Decyzje o tym zapadły dopiero w piątek, 5 października, wieczorem! Oprócz mnie wszyscy członkowie mojej załogi są – jak mówimy w Izraelu – błogosławionej pamięci (zichrono liwracha), zginęli nocą 9 października 1973.

Na Golanie stosowane były czołgi brytyjskie zmodyfikowane w Izraelu; nosiły nazwę Szot kal. Pojazdy te miały w pełni stalowe gąsienice, lepiej nadające się do pokonywania trudnego terenu. Z kolei na piaskach Synaju lepiej sprawdzały się amerykańskie Pattony. Z tego też względu Weiler nie znał Szot kala i prosił, żeby każdy z członków jego załogi, oprócz swej specjalizacji, miał także ukończony kurs dowódcy czołgu, żeby on mógł więcej uwagi poświęcić na kierowanie walką całego pododdziału.

W efekcie nasz ładuwniczy w ogóle nie znał działonowego, jedynie wiedział, jak ma on na imię, ale nie orientował się jak szybko jest on



**Odnaka współczesnego
53. batalionu pancernego**



Odnaka 7. Brygady Pancerniej



**Izraelski Szot kal (zmodernizowany
brytyjski czołg podstawowy Centurion)
na Wzgórzach Golan**

Zdjęcie: K. Kubiak

**Szot kal pozostawiony na
Wzgórzach Golan
Zdjęcie: K. Kubiak**

**Obecny widok pola bitwy. Szot kal
i zniszczony czołg syryjski, w tle Dolina
Płacz. Po lewej stronie na wzniesie-
niu, na drugim planie Szot kal na pozy-
cji strzeleckiej / Zdjęcie: J. Centek**



Początkowo podlegaliśmy pod Dowództwo Północne. W razie potrzeby mieliśmy udzielić wsparcia albo 7. albo 188. Brygadzie. 6 października podporządkowano nas pierwszej z nich. Ale to dowódca drugiej, płk Icchak Ben Shoham prosił o naszą pomoc. Doszło na tym tle do spięcia między nim, a dowódcą 7. Brygady Pancernej – Awigdorem Januszem Ben Galem. W konflikt musiał interweniować szef sztabu Dowództwa Północnego – ppłk Uri Simchoni, który stanął po stronie tego ostatniego. Obiecał wesprzeć Ben Szohama później. W ten sposób skierowano nas na północny odcinek frontu.

Skąd wzięliście czołgi?

Tuż przed wybuchem wojny nasz batalion skoncentrowano w dużej bazie wojskowej Filon, w pobliżu Rosz Pina – miasta położonego na północy Izraela niedaleko od granicy z Libanem. Znajdowały się tam czołgi stanowiące zapas mobilizacyjny, które należało zatankować i uzbroić. Robiliśmy to przez cały dzień. To był to piątek, 5 października 1973. Nie mieliśmy wówczas pojęcia, że w ciągu 24 godzin wybuchnie wojna na pełną skalę... Wiedzieliśmy jedynie, że sytuacja jest napięta i ogłoszono podwyższony stopień gotowości. Spodziewano się po prostu dnia bitwy.

w stanie celować. Każdy z nas był ekspertem w swojej dziedzinie, ale praca zespołowa leżała całkowicie. Ponieważ moją główną specjalnością było prowadzenie czołgu, trafiłem do tej załogi jako kierowca pojazdu.



**Zniszczony syryjski czołg T-55. Park pa-
mięci 7. Brygady Pancernej
Zdjęcie: K. Kubiak**



**Zniszczony syryjski czołg T-62.
Fragment monumentu w Dolinie
Płaczu / Zdjęcie: K. Kubiak**

Żydzi nazywali dzień bitwy starcia graniczne z Syryjczykami. Trwały one jeden, maksymalnie 2 dni i toczyły się na wyraźnie ograniczonym obszarze – szerokości maksymalnie 15 km. Przebieg dnia bitwy zaś zwykle wyglądał podobnie – czołgi syryjskie zajmowały pozycje i ostrzeliwały izraelskie wozy bojowe. Czasem do akcji wchodziła również artyleria, na co Żydzi również odpowiadali ogniem.

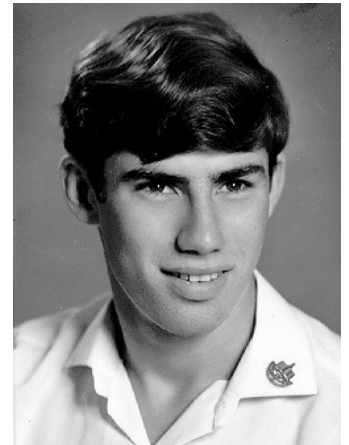
A jak znaleźliście się na Wzgórzach Golan?

Ponieważ batalion nie dysponował odpowiednią liczbą przyczep do transportu czołgów, zdecydowano, by część z nich wystać na gąsienicach, a resztę – w kilku rzutach – na dostępnych ciężarówkach. Odpowiedzialnym za zgrupowanie 12 – 14 czołgów jadących samodzielnie został zastępca d-cy batalionu – major Gideon Weiler.

Jazda w kierunku Wzgórz Golan była spokojna. Byłem kierowcą pierwszego czołgu, więc nie miałem dzięki temu żadnego problemu z kurzem. Jechaliśmy drogami wykorzystywanymi przez rolnictwo, unikałmy głównych tras, żeby ich nie zniszczyć. Parę razy musieliśmy je przekraczać, a wtedy Gideon Weiler polecał kłaść na asfalt wielkie opony i przejeżdżaliśmy po nich używając specjalnej techniki. Nie wolno było przy tym skręcać.

Wyruszyliśmy w drogę z otwartymi włazami. Dlaczego? Bo nie było żadnego zagrożenia, a to znacznie ułatwiało kierowcy obserwację terenu. Jazda była naprawdę przyjemna, w okolicy było wiele drzew, wszędzie panował spokój. Przebyliśmy Jordan i dojechaliśmy do kibucu Gonen położonego u stóp Wzgórz Golan. Droga z bazy Filon zabrała nam 4,5 godziny. To nie było daleko, jakieś 15 – 20 km, ale jechaliśmy bardzo powoli. Ppłk Gideon Weiler powiedział nam przed wyruszeniem w trasę: – Chłopaki musicie być bardzo ostrożni i nie jechać szybko. Teren nam sprzyjał, bo była to dolina.

W kibucu Gonen zrobiliśmy małą przerwę i Gideon polecił wszystkim kierowcom co mają robić. Wówczas bowiem zaczynał się trudny odcinek – mieliśmy wjechać na skarpę Golanu. Musisz zrozumieć, że to było bardzo ważne. Dla mnie to był pierwszy raz, kiedy miałem jechać czołgiem po Golanie. Całą służbę spędziłem na różnych kursach na Pustyni Negew i na Synaju i nie wiedziałem, jak należy poprawnie poruszać się w takim terenie jak Golan. Było tam dużo kamieni, a ponadto poważnym problemem była sama skarpa. Zaczęliśmy się wspinać na nią ostrożnie i bardzo powoli, czołg za czołgiem.



Major Gideon Weiler, zastępca dowódcy 71. batalionu pancernego i dowódca czołgu Szaja Kantora. Poległ 9 października 1973. Wraz z nim zginęli starszy sierżant Jehuda Ruimi (działonowy) oraz Meir (Miszluborski) Jari (ładowniczy)



**Odnaka współczesnego
74. batalionu pancernego**



Izraelskie stanowisko ogniowe na Wzgórzach Golan, rampa przeznaczona dla czołgów / Zdjęcie: K. Kubiak



Widok ze Wzgórz Golan w kierunku północno-zachodnim, za płotem granicznym rozciąga się Syria

Zdjęcie: K. Kubiak

Izraelski rów przeciwczołgowy na Wzgórzach Golan – stan obecny

Zdjęcie: J. Centek



Wciąż jednak jechaliśmy z otwartymi włazami. Gideon powiedział nam, że jeżeli wyczujemy, że czołg jest niestabilny, mamy natychmiast zatrzymać się i zamknąć wszystkie włazy.

Gdy wjechaliśmy na Wzgórza Golan, było już ok. godz. 14:00. Zobaczyliśmy wówczas dwie rzeczy. Po pierwsze atak lotnictwa syryjskiego – MiGów oraz Su. Drugą rzeczą były pociski artyleryjskie, które zaczęły wybuchać między naszymi pojazdami. Byliśmy jednak przekonani, że to sprawka naszych samolotów, przypuszczaliśmy, że może się po prostu pomyliły! Trwało to jednak

tylko chwilę, bo jeden z żołnierzy miał radio tranzytorowe. Włączył je i dowiedzieliśmy się, że walki toczą się też na Synaju i na terenie całych Wzgórz Golan. Gideon Weiler krzyknął wtedy: – Jesteśmy na wojnie! Wszystko pozamykać! Od razu w sieci łączności zrobiło się głośno, wielu dowódców pojazdów pytało o to, gdzie mają zająć pozycje i co mają robić itp.

Ale po zamknięciu włazów kierowca nie widzi, gdzie jedzie, a jego oczami jest dowódca czołgu. Miałem wprawdzie 2 peryskopy, ale widoczność sięgała zaledwie 10 – 20 m. Można je było obracać na lewo i na prawo, ale wymagało to dużo siły. W takich warunkach normalna obserwacja jest wykluczona. Dodatkowo w czasie jazdy w kurzu ich szkła szybko się brudziły, a czyszczenie optyki wcale nie było proste. Przy tym czołg nie mógł się zatrzymać. Zatem trzeba było wyjmować je po kolei i w tym czasie poruszać się z widocznością zredukowaną o połowę.

Wiedziałeś, że jedziecie na wojnę?

Skądże. Spodziewaliśmy się dnia bitwy, no może trochę większego starcia niż miało to miejsce dotychczas, ale póki co nikt, nikt nie powiedział głośno słowa wojna. W każdym razie skończyliśmy przygotowywać czołgi w nocy z 5 na 6 października. Następnego dnia o godz. 08:00 rano, nadeszły konkretniejsze wiadomości od wywiadu, mówiące o tym, że potrzebna będzie podwyższona gotowość i że trzeba sprowadzić więcej czołgów. Wiesz, to Jom Kipur, wyjątkowy dzień w roku – Żydzi są wtedy w synagogach, nikt nie pracuje, a ci najbardziej religijni to nawet nic nie jedzą, ani nie



piją w ciągu całego dnia. Dowódcy jednakże powiedzieli żebyśmy coś zjedli, aby nie zabrakło nam sił. Mimo to niektórzy żołnierze odmówili posiłku. Nadal nikt nie mówił o wojnie.

Gdy w czasie dnia bitwy udawało się zniszczyć jakiś czołg syryjski, załoga wołała przez radio, że należy im się butelka szampana. Szczęśliwcy nie dostawali wprawdzie alkoholu, ale zyskiwali respekt pozostałych załóg.

Ale tym razem to nie był standardowy dzień bitwy tylko prawdziwa wojna i to od razu na pełną skalę...

Tak. Przed naszymi pozycjami syryjskie czołgi wjeżdżały gęstą masą w wąską Dolinę Płacz. Przewaga liczebna Syryjczyków na nami wynosiła wówczas 10:1, a potem wzrosła nawet do 15:1! Czuliśmy się tak, jakby szło na nas pancerne tsunami... W takim momencie człowiek ma świadomość, że ma przeciwko sobie potęgę, której nie jest w stanie zatrzymać. A my mieliśmy tego dokonać. Tylko jak?

No właśnie, jak z nimi walczyliście? Jak wyglądała wasza taktyka podczas walk na Wzgórzach Golan?

Pierwsze 4 dni wojny to była bitwa o zatrzymanie, gdyż wówczas walczyliśmy z przewagą Egipcjan i Syryjczyków, a naszym głównym zmartwieniem było właśnie powstrzymanie ich ofensywy i niedopuszczenie do podboju izraelskiego terytorium. Drugi etap, który na Golanie zaczął się po 9 października, nazywamy przełamaniem (ha-awkaa).

Przez pierwsze dni wojny wielkim problemem było dla nas także i to, że w terenie na którym operowaliśmy znajdowali się syryjscy komandosi wyposażeni w granatniki przeciwpancerne rpg-7 i ppk Malutka. Liczyliśmy się z zagrożeniem z ich strony, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jest ich aż tylu! Czołg widać z 3 km, a takiego żołnierza z granatnikiem, schowanego za skałą – nie.

Stosowaliśmy taktykę poruszaj się i strzelaj. Nie wolno było zatrzymywać się na dłuższy czas, bo wtedy dawaliśmy nieprzyjacielowi większą szansę na trafienie naszej maszyny. Wystrzeliliśmy mnóstwo, naprawdę mnóstwo pocisków. Ale jeżeli dużo strzelasz, to ładowniczy w końcu się zmęczy. Dodatkowo co pewien czas trzeba było wymieniać lufę – ze względu na zużycie gwintu. To oczywiście wymagało czasu, ale nie było wyboru, ponieważ w przeciwnym razie trafianie w cel było bardzo utrudnione.

Zajmowaliśmy pozycję na górach Hermonit oraz Warda i stamtąd posyłaliśmy nasze pociski w kierunku Doliny Płacz, która znajdowała się pomiędzy nimi. Po oddaniu 5 – 6 strzałów każdy czołg zmieniał pozycję, żeby zminimalizować ryzyko trafienia i wyeliminowania go z walki. Kierowcy musieli błyskawicznie cofać czołg o jakieś 5 – 6 m. Następnie skręcali w prawo lub w lewo i – zgodnie z instrukcjami dowódcy – wjeżdżali na kolejne stanowisko ogniowe. Nie było to proste, ponieważ na Hermonicie było bardzo mało miejsca, a strome zbocza znacznie ograniczały możliwe do wyboru pozycje strzeleckie, co utrudniało działonowym celowanie.

Ppłk Meszulam Rates, w czasie wojny Jom Kipur dowódca 71. batalionu pancernego. Poległ 9 października 1973 podczas bitwy pancernej na Wzgórzach Golan



Po wystrzeleniu całego zapasu amunicji znajdującej się w czołgu trzeba było zjechać na dół celem jej uzupełnienia. Większość czasu jeździliśmy z jednej pozycji na drugą, żeby strzelać do Syryjczyków. Ich czołgi to były głównie T-55, ale posiadali też T-62 z armatą kal. 115 mm, a nasze wozy miały działa kalibru tylko 105 mm. Te dodatkowe 10 mm robiło jednak sporą różnicę w sile i zasięgu ognia! Tak wyglądały pierwsze 2 – 3 dni tej wojny.

Czy mieliście sprzęt do walki w nocy?

Standardowo w nocy w czołgu dowódca oraz kierowca mają swoje systemy do obserwacji

Pomnik 188. Brygady Pancernej w Dolinie Płaczu / Zdjęcie: Wikipedia



w podczerwieni. Ten ostatni mógł dzięki niemu rozpoznać teren w odległości 5 – 7 m przed czołgiem. W naszym batalionie jednak żaden kierowca nie dysponował takim systemem. Także w przypadku dowódców czołgów mieli go tylko nieliczni. Nie wiem, jak oni zdobyli to wyposażenie, bo w bazie Filon mieliśmy problemy ze skompletowaniem sprzętu dla naszych wozów. Co innego u Syryjczyków – ich czołgi posiadały przecież reflektor podczerwieni!

Jak zatem walczyliście w ciemnościach?

Nie wiem czy wiesz, ale dodatkowym utrudnieniem było to, że księżyc w nocy z 6 na 7 października nie był zbyt jasny. Standardowo w swym wyposażeniu lotnictwo i artyleria miały bomby pociski oświetlające, jednak były one zbyt zajęte wykonywaniem innych zadań bojowych, żeby nam pomóc. Zresztą nie było tej amunicji w dostatecznej ilości. Pole bitwy oświetlały więc... płonące czołgi syryjskie. Nasi działonowi mogli dzięki temu celować do nieprzyjaciela. Trzeba jednakże było być przy tym bardzo dobrym strzelcem. Naszym żołnierzom tej akurat umiejętności nie brakowało.

Oprócz tego, w kluczowych momentach – np. gdy ich czołg mostowy zbliżał się do rowu przeciwczołgowego – używaliśmy reflektorów. Wyznaczano wówczas 2 – 3 czołgi do strzelania do tego pojazdu przeciwnika. Gdy wszystko było gotowe, czołg z reflektorem oświetlał cel, a wozy współpracujące z nim otwierały ogień. Na oddanie strzału było raptem 1 – 2 sekundy. Jeżeli chybiły, po przeładowaniu powtarzano akcję. Jeżeli zaś trafiły, zmieniały pozycję. Ale robiono to stosunkowo rzadko, pamiętam tylko parę takich akcji w ciągu walk o zatrzymanie. Normalna praktyka była taka, że dowódca pododdziału wybierał do takich akcji najlepsze załogi, ale nasi dowódcy nie mieli przecież okazji, by nas poznać!

W jaki sposób uzupełnialiście amunicję?

W rejonie kibucu Elrom znajdowały się ciężarówki, które dowoziły nam amunicję. Podjeżdżaliśmy do nich i ładowaliśmy pociski do czołgu. Normalnie brała w tym udział cała załoga, ale Gideon miał inne obowiązki, więc musieliśmy pracować we trójkę ładując 72 pociski i układając je w specjalny sposób. Zwykle zajmowało to 1 – 2 godz. Potem pobieraliśmy amunicję do karabinów maszynowych. Na końcu zajmowaliśmy się bieżącą konserwacją sprzętu, np. uzupełnieniem oleju itp. Oczywiście, jeżeli czołg został w trakcie walki uszkodzony na tyle, że nie mógł prowadzić dalszych działań, również zjeżdżał na dół, gdzie wykonywano konieczne naprawy.

A kiedy odpoczywaliście, kiedy spaliście?

Przyjacieli drogi... Nie mieliśmy czasu, by spać! Było tak ciężko, że nikt nie myślał o spaniu, czy o myciu się. Pierwszej nocy nie zmrużyliśmy oka wcale, chyba trochę udało nam się zdrzemnąć drugiej nocy, ponieważ udaliśmy się na

postój nocny i mogliśmy nieco odpocząć, ale cały czas pozostając w czołgach. Zasnęliśmy wtedy natychmiast, ale wkrótce obudził nas ostrzał syryjskiej artylerii. Może ktoś nierozważnie powiedział przez radio, gdzie znajduje się 71. batalion i nieprzyjaciel to podsłuchał? W takiej sytuacji w ciągu 2 minut trzeba ruszać, żeby nie oberwać pociskiem. Nasza taktyka była prosta – jeżeli jesteś w ruchu, jeżeli jedziesz, masz większe szanse przeżycia. To była żelazna zasada naszego postępowania.

W każdym razie, jeżeli czołg z jakiegoś powodu stał i czekaliśmy na coś, wtedy mogłem się zdrzemnąć w swojej kabinie. Byliśmy jednak tak wyczerpani, że gdy nasz działonowy w końcu usnął, mieliśmy problem z obudzeniem go. O umyciu się oczywiście nie było nie było mowy. Ja mogłem zrobić to dopiero 9 października, gdy trafiłem do szpitala po zniszczeniu naszego czołgu. Jaka to była przyjemność!

Naszemu batalionowi od początku wojny była podporządkowana kompania majora (raw seren) Awnera Landau'a z 53. batalion pancernego. Została ona na noc w terenie, po którym grasowali syryjscy komandos z bronią przeciwpancerną. Landau rozkazał rozproszyć się swoim czołgom. Po jakimś czasie wzywał kolejne załogi przez radio, aby ustalić co się z nimi dzieje, ale dwie załogi się nie zgłosiły. Gdy dowiedział się o tym dowódca batalionu – Meszulam Rates, natychmiast rozkazał wystać kilka pojazdów z misją ratunkową. Awner się jednak temu sprzeciwił, zdawał sobie bowiem sprawę, że jazda w nocy przez teren opanowany przez komandosów nieprzyjaciela, wyposażonych w broń przeciwpancerną jest samobójstwem. Chciał poczekać do rana. Rates zakończył dyskusję stwierdzając, że to on jest dowódcą batalionu i to on decyduje. Wściekły na Landau'a zdecydował, by wystać na ratunek zagi-



**Odnaka współczesnego
77. batalionu pancernego**



A jak było z jedzeniem?

W czołgu mieliśmy pojemniki, w których znajdował się zapas jedzenia dla całej załogi. Można było je wymienić przy okazji pobierania amunicji, oleju i paliwa. Dodatkowo mieliśmy w czołgu zapas 20 l wody pitnej. Ale co z tego, skoro nie mieliśmy czasu, by przygotować sobie jedzenie? Gdy było kilka wolnych minut, wtedy jedliśmy tylko tyle, żeby nie głodować. Pamiętam, że w naszych pojemnikach było dużo chałwy. W życiu jej się tyle nie najadłem, co wtedy!

**O Twojej historii słyszałem dużo wcześniej dzięki podcastowi Rana Lewiego.
Opowiedz ją proszę**

nionym pojazdom 3 czołgi dowodzone przez swojego zastępcę – Gideona Weilera. Bo w armii izraelskiej obowiązuje taka zasada, że zawsze zabieramy z pola bitwy naszych zabitych i rannych. Robimy wszystko żeby ich znaleźć i ewakuować.

Gdy ruszaliśmy, by ratować czołgi Awnera była godz. 22:00. Przez większość czasu Gideon musiał mówić mi, jak mam jechać, ponieważ po prostu nic nie widziałem. W naszym przypadku było to trudne, bo przecież Gideon musiał oprócz tego dowodzić całą naszą grupą. Mogliśmy wprawdzie włączyć reflektory, jak w samochodzie, ale wtedy stalibyśmy się idealnym celem dla syryjskich komandosów z rpg-7.

**Szot kal jako element pomnika na
Wzgórzach Golan / Zdjęcie: J. Centek**



Wrak izraelskiego transportera M-113. Zniszczony pojazd pancerny pozostał na Wzgórzach Golan. W ciągu niemal półwiecza, które upłynęło od końca wojny z jego środka wyrosło okazałe drzewo / Zdjęcie: K. Kubiak

Niestety Awner miał całkowitą rację... Wszystkie 3 nasze czołgi wystane z odsieczą zostały zniszczone zanim dotarły do celu. My oberwaliśmy ok. godz. 03:30 rano. Trochę czasu mi to zajęło zanim się zorientowałem, co właściwie się stało. Początkowo myślałem, że po prostu wjechaliśmy na minę. Dopiero później zorientowałem się, że dostaliśmy z rpg-7. Z przedziału kierowcy spojrziałem do tyłu i zobaczyłem kawałki ciał 2 członków mojej załogi. Nie wiedziałem co się stało z Gideonem Weilerem. Później dowiedziałem się, że ciśnienie, jakie powstało wskutek eksplozji wyrzuciło go z otwartej wieży na odległość 10 m. Niestety, siła eksplozji zerwała mu z głowy hełm, upadając uderzył głową o kamień i zginął.

Byłem w czołgu sam mniej więcej od godz. 03:30 rano do ok. godz. 10:00 rano. Miałem dużo czasu na myślenie co robić. Zastanawiałem się – zostać w czołgu i nie ruszać się, czy wyjść z rozbitej maszyny i biec w stronę własnych pozycji? Wiesz, w takich okolicznościach jawi się wiele alternatyw co dalej robić. Jednakże w ogóle nie

znałem Wzgórz Golan, a było tam przecież pełno syryjskich komandosów. Z drugiej strony, jeżeli czołg zostałby trafiony jeszcze raz, byłoby po mnie. Wiedziałem na pewno, że mój czołg już się nigdzie nie ruszy. W końcu podjąłem decyzję, że położę się w przedziale kierowcy i będę udawał zabitego, ponieważ bardzo, ale to bardzo się bałem, iż jakiś syryjski żołnierz przyjdzie zobaczyć czy ktoś z załogi nie przeżył, żeby wziąć go do niewoli. A o dostaniu się do niewoli, zwłaszcza syryjskiej, słyszałem same straszne rzeczy. To było bardzo ciężkie 5 – 6 godzin oczekiwania.

Muszę Ci powiedzieć, że byłem pewien, iż na pewno ktoś z naszych przyjdzie i mnie uratuje. Jak ci mówiłem uczy się nas, że Cahal zrobi wszystko co się da, żeby uratować żołnierzy potrzebujących pomocy na froncie i ewakuować ich do domu, zanim ktoś weźmie ich do niewoli. I to mi bardzo pomogło by jakoś wytrwać, bo bez tej świadomości chyba bym oszalał... Każda minuta oczekiwania ciągnęła się jak 2 lata. Siedziałem więc w rozbitym pojeździe nie wiedząc co się dzieje, czy wygrywamy czy też nie?

Uratował mnie Awner Landau i historia jakby zatoczyła koło – my pojechaliśmy pomóc jego ludziom, a ostatecznie to oni pomogli nam. Wtedy mi tego nie powiedział, ale teraz jesteśmy w stałym kontakcie; odwiedzamy się 2 – 3 razy do roku i często do siebie dzwonimy. W każdym razie po latach powiedział mi, że kiedy mnie odnaleźli moja twarz była biała jak ściana, jakby nie było w niej wcale krwi. Gdy mnie wydobył z przedziału kierowcy, kazał mi biec do swojego czołgu i czekać, bo chciał zobaczyć czy ktoś przeżył w pozostałych pojazdach. Zabrał mnie do punktu medycznego, a tam lekarze natychmiast wysłali mnie do szpitala w Sfaradzie. Myśleli, że mam PTSD. Byłem tam 2 – 3 dni.

Jednak jak tylko doszedłem do siebie postanowiłem nie siedzieć w szpitalu dłużej niż 2 dni. Wciąż trwała wojna. Pojechałem do głównej bazy wojskowej w Nafach i powiedziałem: – Mam na imię Szaj, jestem sierżantem i dowódcą



Monument Izraelskiego Korpusu Pancernego w Muzeum Broni Pancernej, w Latrun / Zdjęcie: K. Kubiak

czołgu. Chcę pomóc, powiedzcie mi jak mogę to zrobić. Odpowiedzieli: – Mamy czołg, tak po prostu, jak na rynku... – Ale musisz sobie skompletować załogę. Zajęło mi to pół dnia, może więcej, zanim znalazłem ludzi do załogi mojego czołgu. Nadali mi numer taktyczny i posłali w pobliże Kunejtry, żebym zajął pozycję na jednym ze wzgórz w pobliżu. Mieliśmy stamtąd strzelać na odległość 4 – 5 km, ale nie po to żeby trafić w jakiś syryjski czołg, ale żeby postawić zastonę dymną i uniemożliwić ruch ich siłom, które przemieszczały się w rejonie Kunejtry z południa na północ.

Później rozmawiałem z wojskowym psychologiem, bo chciałem się dowiedzieć, co mam mówić rodzinom członków załogi mojego czołgu. Bo wiesz, widziałem kawałki ciał, a nie jest to rzecz, którą chciałbym powiedzieć ich matkom, czy siostram. Mogłem je poinformować, że zginął, ale bez tych szczegółów.

Psycholog powiedział mi, że bardzo pomogło mi to, iż tak szybko po tym wszystkim wróciłem na wojnę. Dzięki temu mój umysł mógł zachować równowagę psychiczną. Tak robi się w Cahalu – jeżeli jakiś pilot został zestrzelony i musiał się katapultować, starają się, żeby tak



Szaj Kantor (z lewej) i Awner Landau, który wyciągnął go z wraku rozbitego czołgu / Zdjęcie: Sz. Kantor

szybko, jak to możliwe, znów siedział w kokpicie samolotu, nawet jeżeli się trochę boi. Dokładnie tak zrobiłem, chociaż wtedy o tym nie wiedziałem. To była intuicja.

Znam ludzi, którzy nie mogą rozmawiać na temat wydarzeń, które miały miejsce 40 czy 45 lat temu. Mnie to na szczęście nie dotknęło. Po wojnie zostałem oficerem wojsk pancernych i służyłem w tym samym 71. batalionie pancernym.

ROZMAWIAŁ: JAROSŁAW CENTEK

Krwawy szturm

Sylwestrowo – noworoczne walki o zajęcie stolicy Czeczenii – Groznego (1994/95) stały się dla armii Federacji Rosyjskiej doświadczeniem porażającym, traumatycznym, o dalekosiężnych skutkach. Strona rosyjska straciła ok. 200 pojazdów bojowych różnych typów, poległo ok. 600 żołnierzy federalnych, ok. 900 odniosło rany, a kilka dużych związków taktycznych przestało istnieć.

Obecnie na rynku wydawniczym ukazała się obszerna publikacja autorstwa Łukasza Mamerta Nadolskiego, kustosa muzeum wojsk Lądowych w Bydgoszczy, zatytułowana *Martwe miasto*, będąca obszernym monograficznym opracowaniem tych dramatycznych zmagania.

Z uwagi na utrudniony dostęp do źródeł, jak też konieczność dokonania wnikliwej ich krytyki praca nad książką rozciągnęła się na okres 10 lat. W wyniku uporczywych dociekań i analiz autor zweryfikował wiele popularnych mitów, jakie narosły wokół tego starcia, w tym i ten, jakoby decyzja o szturmie została podjęta w oparach libacji alkoholowej, a zdobycie Groznego miało być swoistym prezentem urodzinowym dla gen. Pawła Graczowa. Ale to tylko koronny przykład wśród wielu osądów i opinii o tym starciu, jakie zostały poddane falsyfikacji na łamach tej pasjonującej książki.

Po pierwsze – strona federalna nie planowała szturmu Groznego w formie działań na pełną skalę, chciano natomiast opanować kluczowe punkty stolicy i zdusić secesję w drodze demonstracji zbrojnej. Po wtóre – bojownicy czeczeńscy w znacznej liczbie opuścili swoje stanowiska i rozeszli się hucznie świętować Sylwestra i Nowy Rok, a przystępując do walki prawdopodobnie byli nawet bardziej wstawieni, niż atakujący miasto Rosjanie. Po trzecie – operacja zajmowania Groznego w pierwszych godzinach po rozpoczęciu działań toczyła się planowo, a nawet ponadplanowo, więc optymizm rosyjskiej kadry dowódczej miał racjonalne podstawy. Tyle tylko, że strona czeczeńska zachowała sprawny system łączności, a bojownicy szybko powracali na pozycje nie tylko solidnie rozgrzani sylwestrową zabawą, ale i uzbrojeni po zęby – zwłaszcza w lekką broń przeciwpancerną, czyli rpg-7.

Rychło rosyjskie kolumny pancerne, które w wielu przypadkach i tak uległy rozerwaniu na poszczególne odizolowane człony, a nawet zgubiły wytyczony kierunek marszu w tkance ulic miasta znalazły się pod chaotycznym, aczkolwiek gęstym ostrzałem z granatników, co gorsza prowadzonym na bliskim dystansie 100 – 30 m. Po 7 celnych trafieniach nawet twardy pancerz T-80, okryty płaszczem reaktywnym ulegał zniszczeniu, natomiast transportery opancerzone w konfrontacji z celnym pociskiem rpg nie miały żadnych szans. Co gorsze – uporczywe trzymanie się żołnierzy desantu swoich pojazdów i szukanie wątpliwej osłony za ich pancernymi zazwyczaj prowadziło do ponadstandardowych strat. Po prostu wszelka technika przyciągała czeczeński ostrzał, jak magnes stając się – zamiast wsparcia – poważnym obciążeniem dla piechoty. Ta zaś nie była w stanie osłonić swoich pojazdów ani w ugrupowaniu marszowym, ani też w miejscach koncentracji i obrony, takich jak dworzec kolejowy.

Autor dowodzi, że serię starć do jakich doszło na ulicach Groznego charakteryzował wszechogarniający chaos, a obie strony walczyły z wielką determinacją i odwagą. Tyle tylko, że w tej chaotycznej ulicznej bijatyce sprawniejsi i efektywniejsi okazali się Czeczeńcy. Bój o Grozny to kliniczny przypadek starcia asymetrycznego, w wyniku którego spektakularne zwycięstwo odniosła strona ex definitione skazana na porażkę. Z uwagi na choćby tylko tę okoliczność ów casus powinien być studiowany i szeroko dyskutowany (nie tylko) w środowisku wojskowym. Do czego niniejszym zachęcam.

ANDRZEJ WOJTAS



Łukasz Mamert Nadolski, *Martwe miasto. Sylwestrowy (noworoczny) szturm na Grozny 31 grudnia 1994 – 2 stycznia 1995 r.*, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2020 ss. 290